

ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr16 styczeń 2012

PROSTO Z MOSTU

LENCZYK SPECJALNIE DLA NAS

NAPROTECHNOLOGIA

NOWA TRADYCJA
W SZCZECINIE





6



23



34

SPIS TREŚCI

4
WSPÓLNIE POMOGLIŚMY NATALII

6
REKOLEKCJE DLA FACETÓW

8
HISTORIA PEWNEGO POWOŁANIA

14
LIST DO NAWRÓCONEJ CELEBRYTKI

16
NAPROTECHNOLOGIA

19
PIERWSZA ZASADA KSMowicza

20
BŁĘKITNY PREZENT, O MIŁOŚCI
KTÓRA POWRACA

22
BAŁTYCCY ŚPIEWACY ZE
WZGÓRZA HETMAŃSKIEGO

24
O SPORCIE, ŻYCIU I RELIGII-
ROZMOWA Z TRENEREM LIDERA
PIŁKARSKIEJ EKSTRAKLASY
ORESTEM LENCZYKIEM

30
POWSZECHNY POPŁOCH

32
EUROSIEROCTWO-
ZNAK CZASÓW

34
KRÓLEWSKI ORSZAK
W CENTRUM MIASTA,
CZYLI NOWA TRADYCJA SZCZECINA

Równe prawo głosu?

"Dziwią wręcz emocjonalne ataki na obecność chrześcijan w tzw. życiu publicznym, a w rzeczywistości w codziennym życiu państw i narodów. W wielu miejscach świata chrześcijanie są wręcz prześladowani, aż do zniszczenia majątków, do wypędzeń oraz do zabójstw" – napisał w niedawnym liście do wiernych metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga, postulując prawo głosu swoich poglądów w życiu publicznym przez wierzących.

Uważam, że wierni powinni mieć możliwość przy wyjściu z kościoła otrzymania listów biskupa w wersji tekstowej, bo nie wszyscy potrafią przecież odpowiednio skoncentrować się w świątyni na słowie. Warto o tym pomyśleć.

W styczniowym numerze przedstawiamy historię kapłana, który miał odwagę dać niezwykle świadectwo swojego powołania. Małżeństwom, mającym kłopot z uzyskaniem potomstwa, przedstawiamy mało jeszcze znaną metodę rozwiązania tego problemu. O życiu, piłce nożnej, ale też wierze opowie prosto z Wrocławia jeden z najlepszych polskich trenerów. Będzie też o pewnym nawróceniu i nowej królewskiej tradycji Szczecina. Wszystkie przedstawione wydarzenia wpisują się w dawanie świadectwa o Bogu, a co za tym idzie, mówią o obecności chrześcijan w życiu publicznym, o czym zresztą często piszemy na łamach naszej gazety oraz mówimy w niedzielnej audycji „Religia na fali” w Polskim Radiu Szczecin. Czy jednak chrześcijanie wszędzie i zawsze mają taką możliwość?

Piotr Kołodziejcki

Ideą gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa, a ewentualne ofiary zebrane z gazety w całości (po opłaceniu składu i druku gazety) przeznaczamy na cele charytatywne.

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejcki

Zastępca redaktora naczelnego

Małgorzata Moraczewska

Redakcja

Przemek Hrycaj, Jarosław Kaczmarczyk,
Sandra Żurawicz, Anna Partyga, Anna Próchniak
Lidia Switała, Ewa Walkowiak, Anna Dutka
Maciej Papke, Barbara Wróblewska, Izabella Zajączkowska,
Katarzyna Ciesielska

Korekta

Andrzej Banasiak

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl

konto na facebooku:

<http://www.facebook.com/ekumeniczni>

Opracowanie graficzne i skład

Robert Żak
robert.zak@wp.pl

Fotoedytor

Łukasz Szelemej
www.szelemej.pl

Konsultacja teologiczna: parafii rzymskokatolickich

ks. dr hab. Krzysztof Wojtkiewicz, prof. US
prawosławnej
ks. Paweł Stefanowski
ewangelicko-augsburskiej
ks. Sławomir Sikora
grekokatolickiej
ks. Robert Rosa

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”
www.szczecińska.eu

Drukarnia

Studio Klawo! Szczecin

WSPÓLNIE POMOGLIŚMY NATALII

Tekst

Ks. Robert Rosa

parafia greckokatolicka pw.

Opieki Najśw. Bogurodzicy

Ideą naszej gazety „Prosto z mostu. Młodzi..Ekumenizm...Bóg...” obok rozwijania dialogu ekumenicznego w Szczecinie jest działalność charytatywna. Jak obiecaliśmy, tak robimy. Podsumowaliśmy kolejny rok naszej pracy a wszystkie zebrane z gazety ofiary (po opłaceniu druku i składu gazety) przeznaczylismy na wylosowany cel.

Dzięki czytelnikom „Prosto z mostu”, którzy w 2011 r. składali ofiary za kolejne numery czasopisma, niepełnosprawna Natalia z parafii greckokatolickiej w Szczecinie, otrzymała znaczącą pomoc - dofinansowanie do turnusu rehabilitacyjnego. Natalia urodziła się z zespołem wad wrodzonych, m.in.: rozszczepem podniebienia miękkiego i twardego, wadą serca i płuca. Przez ponad 20 lat swojego życia przeszła wiele operacji. Do 6. roku życia większość czasu spędziła w szpitalach w Warszawie, Poznaniu i Szczecinie. Dzięki staraniom lekarzy i swojej mamy Lidii, od 7. roku życia mogła korzystać z nauczania indywidualnego. Częste spotkania z nauczycielką, która kilka razy w tygodniu przychodziła do jej domu, skończyły się, kiedy Natalia ukończyła 20 lat. Pani Lidce oświadczono, że jej córce, z racji na wiek, taka forma edukacji już nie przysługuje. Później okazało się, że było to nieporozumienie, niemniej w konsekwencji, pani nauczycielka przychodzi teraz do Natalii raz w tygodniu – prywatnie.



Natalia urodziła się z zespołem wad wrodzonych m.in.: rozszczepem podniebienia miękkiego i twardego, wadą serca i płuca.
Fot. Archiwum prywatne.



Origami Natalii. Fot. Archiwum prywatne.

Natalia korzysta również ze wsparcia Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom i Młodzieży Niepełnosprawnej Ruchowo "Tęcza". Cztery razy tygodniu chodzi na gimnastykę, plastykę, zajęcia z logopedą i informatykę oraz masaże. Jej mama oraz babcia Nadia, która od lat pomaga w opiece nad niepełnosprawną wnuczką, cieszą się, że „Tęcza” już niedługo będzie miała nową siedzibę – przy ul. Wawrzyniaka, po dawnych „Kontrastach”. Pani Lidka uważa, że to bardzo dobra decyzja władz Szczecina i podkreśla: „już nie będzie tak ciasno, jak w obecnej siedzibie stowarzyszenia przy ul. Bohaterów Warszawy”.

Natalia lubi spacerować z mamą, rysowanie, malowanie, układanie puzzli. Innym jej hobby są gry komputerowe oraz słuchanie piosenek lwowskiej grupy „Tercja Pikardyjskiej”. Mama Natalii powiedziała także: „Kiedy ostatnio starałam się o dofinansowanie do turnusu rehabilitacyjnego dla Natalii, ze względu na ograniczone fundusze MOPS-u, nie zostałyśmy zakwalifikowane”. Teraz, dzięki ofiarności czytelników „Prosto z mostu”, już w maju Natalia będzie mogła pojechać na turnus do Dziwnówka.

Dziękujemy za Waszą pomoc!

NIE SZTUKĄ JEST MARUDZIĆ, CZYLI REKOLEKCJE DLA FACETÓW

Tekst
Krzysztof H. Olszyński

Kiedyś nauki stanowe były rzeczą powszechną – podczas każdych rekolekcji kapłan wygłaszał oddzielną naukę dla kobiet i mężczyzn. Dziś co najwyżej nauki rekolekcyjne dzieli się na te dla dzieci, młodzieży i dorosłych. A szkoda, bo jak mówi nauka Kościoła, płęć to nie tylko aspekt fizyczny, lecz przede wszystkim wewnętrzny, duchowy.

W dniach 10-11 grudnia szczecińscy mężczyźni po raz piąty mieli okazję wsłuchać się w „Rekolekcje dla facetów” – inicjatywę skierowaną do panów. Każda z edycji rekolekcji, odbywających się obecnie w kościele św. Jana Ewangelisty u pallotyńców, jest próbą znalezienia miejsca współczesnego mężczyzny w Kościele katolickim. To przede wszystkim próba głoszenia mężczyznom uniwersalnych treści ewangelicznych, lecz innym językiem. „Dla facetów – to znaczy prosto, krótko i na temat” – mówi pomysłodawca rekolekcji, Łukasz Krytkowski. Ta inicjatywa jest wynikiem licznych rozmów z mężczyznami, którzy mimo bycia praktykującymi katolikami nie czują się w Kościele jak u siebie. Uważają, że Kościół nie mówi do nich ich językiem. „Pewnego wieczoru na pielgrzymce, rozmawiając z męską grupą znajomych o Kościele, doszliśmy do wniosku, że mamy dość słodkich śpiewów, słodkich kazań, mówiących o wszystkim, lecz tak naprawdę o niczym. Mamy dość łagodnego przekazu, w którym brak konkretności. Stwierdziliśmy, że trzeba to zmienić.” A ponieważ nie chcieliśmy tylko marudzić, ale zacząć działać, powstała inicjatywa Rekolekcji dla facetów, które od 2008 roku odbywają się w Szczecinie w okresie Wielkiego Postu i Adwentu. Na każdych rekolekcjach kapłani prezentują swoje podejście do roli mężczyzny w Kościele katolickim, w piękny sposób przekazując jego naukę mówiącą, że płęć to nie kwestia fizyczności, ale przede wszystkim wnętrza.

Pomimo, iż Rekolekcje dla facetów odbywają się dwa razy do roku, przy pallotyńskiej parafii na stałe działa Męska Schola Tradycyjna. Skupia ona mężczyzn zafascynowanych tradycyjnymi śpiewami religijnymi – zarówno chorałem gregoriańskim, jak i tradycyjnymi śpiewami ludu. To właśnie ta Schola odpowiedzialna jest za męski śpiew podczas rekolekcji.



Szczecińscy mężczyźni po raz piąty mieli okazję wsłuchać się w „Rekolekcje dla facetów” – inicjatywę skierowaną do panów. Fot. Łukasz Krytkowski.

Sama Schola jest szczecińskim oddziałem ogólnopolskiego Projektu Muzyczno-Liturgicznego „Wschód – Zachód”, zrzeszającego fascynatów dawnej muzyki religijnej. Jego członkowie, pochodzący z 40 miast naszego kraju, podróżują po Polsce, posługując tradycyjnym nabożnym śpiewem podczas uroczystych Mszy świętych, jednak ich specjalnością jest przygotowanie nabożeństw okresowych (Droga Krzyżowa, Nabożeństwo Październikowe i inne) z oprawą muzyczną złożoną z najstarszych zabytków polskiej i europejskiej pieśni katolickiej. Ich działalność jest odpowiedzią na wezwanie papieża Benedykta XVI do spojrzenia na współczesną historię Kościoła z perspektywy nie filozofii zerwania, lecz ciągłości. Jest drogą oddania chwały Bogu w pieśniach, które uświęciły naszych ojców, a także przyczynkiem do ożywienia praktyki śpiewu chorału gregoriańskiego, własnego śpiewu Liturgii Rzymskiej. Bo jeśli łaćniński katolik nie zrobi tego sam, nikt inny nie uczyni tego za niego.

Więcej informacji o Projekcie Muzyczno-Liturgicznym „Wschód – Zachód” można znaleźć na stronie <http://projekt-wschod-zachod.blogspot.com/> natomiast o działaniach Męskiej Scholi Tradycyjnej oraz inicjatywie Rekolekcji dla facetów można poczytać pod adresem <http://rekolekcjedlafacetow.blogspot.com/> Tutaj także można znaleźć nagrania wszystkich dotychczasowych nauk rekolekcyjnych.

HISTORIA PEWNEGO POWOŁANIA... Z KUCHNI DO OŁTARZA - MORZE MOIM TABERNAKULUM

Rozmawiał
Piotr Kołodziejski
parafia rzymskokatolicka pw.
Matki Bożej Jasnogórskiej

W swoim życiu chciałem być technologiem żywienia - zaczyna opowiadać historię swojego powołania ks. Rafał Szutra, kapłan z niespełna dwuletnim stażem, dziś posługujący w parafii Matki Bożej Jasnogórskiej na szczecińskim Wzgórzu Hetmańskim.

Pewne sytuacje związane z poszukiwaniem tego zawodu, spowodowały, że zmieniłem zupełnie tor poszukiwań i przenieśliem je na inne wartości. To poszukiwanie spowodowało głębsze nawrócenie i odkrycie głosu Boga.

Dzięki rodzinie poznawałem Boga w nurcie tradycyjnym. On jednak nie pozwalał mi wejść w głębszą relację z Bogiem. Już w dzieciństwie jedno pragnienie towarzyszyło mi bardzo mocno – zapraszać Boga do swojego życia. Zawsze odczuwałem potrzebę modlitwy porannej i wieczornej, powierzania wszystkich spraw Bogu i dziś z perspektywy czasu wiem jedno, że Pan Bóg prowadził mnie od samego początku. Rodzice są skromnymi rzemieślnikami, a zarazem posiadającymi wielką mądrość życiową. Naszą rodzinę charakteryzowała niewiara w siebie i stąd płynące niskie poczucie wartości.

Miałem trudności w osiągnięciu dobrych wyników w nauce, dlatego musiałem uczyć się bardzo dużo. Przykład mojej siostry, która jest niezwykle zdolną osobą, był dla mnie niezwykle motywujący by coś w życiu osiągnąć. Dla mnie tym celem w dalszej perspektywie były studia, dlatego postarałem się i dostałem do Technikum Gastronomicznego w Głogowie, w moim rodzinnym mieście. A zapędy kulinarne miałem od zawsze. W niedzielę np. lubiłem usmażyć rodzicom jajecznicę czy też inaczej zaspokajać ich kulinarne potrzeby. Żeby jednak dostać się do wymarzonej szkoły, musiałem na dobrym poziomie zdać egzaminy z polskiego, matematyki i chemii, z którą zawsze miałem poważne problemy. Dodatkowo kierunek ten cieszył się dużą popularnością w związku z tym było trzech kandydatów na jedno miejsce.

Doświadczenia z okresu szkoły średniej pokazały mi pewien wewnętrzny konflikt. Z jednej strony było pragnienie Boga, a z drugiej strony zobaczyłem, że moja konstrukcja moralna nie jest taka silna. Zacząłem poszukiwać zewnętrznych pociech:

w relacjach z dziewczynami, zabawach, dyskotekach. Na szczęście odzywał się we mnie głos rozsądku, który mobilizował do walki o dobry start w życie, więc dalej starałem się o dobre wyniki w nauce. Udawało mi się to, dzięki ciężkiej pracy. Po bardzo dobrze zdanej maturze dostałem się na studia w Szczecinie i zacząłem przygotowania do zawodu technologa żywienia. Kiedy przyszedłem do Szczecina chroniły mnie wartości nurtu tradycyjnego, które wpajali mi rodzice. To oni pokazywali spowiedź, Eucharystię, chodzili z nami w młodości do kościoła. W czasie kiedy rozpocząłem samodzielne życie znowu wróciłem do korzystania z wolności, którą pojmowałem na swój sposób. Znowu pojawił się zabawowy styl życia: imprezy, zabawy, dyskoteki. Nic mi wtedy nie wychodziło. Zacząłem zauważać, że oddalam się od Boga. Wtedy też nurt tradycyjny, w którym zostałem wychowany zaczął pokazywać mi, że nie ma w moim życiu żadnej duchowej głębi. Brakowało mi poczucia bezpieczeństwa, które kiedyś w nim odnajdywałem. Czułem się bardzo zagubiony i zupełnie przegrany. Po dwóch latach poszukiwań uznałem, że chcę postawić na Pana Boga i zacząłem chodzić w niedzielę do kościoła, a wcześniej zdarzało się, że atrakcyjny wyjazd wygrywał z niedzielną mszą świętą. Byłem już wtedy w rocznym związku z dziewczyną i chciałem, żebyśmy zaczęły żyć w czystości serca.

Kiedy zaczęło mi brakować tych niedzielnych obiadów w domu, wyjścia do kościoła, spacerów, zapragnąłem znowu być w Kościele. Były rekolekcje, spotkania, ale to jeszcze nie było to głębokie spotkanie z Jezusem. Dziewczynie zaczęły przeszkadzać chodzenie do kościoła. Ona zawsze uważała, że mam wewnętrzne pragnienie bycia uczciwym, sama była bardziej pogubiona ode mnie. Zaczęły się kłótnie o chodzenie do kościoła, a także inne aspekty historii naszego życia. Po jakimś czasie stwierdziłem, że ten związek nie ma szans, mimo że wcześniej myślałem, iż weźmiemy ślub. Miałem też bardzo silne pragnienie ojcostwa, ale później dopiero okazało się, z czego ono wynikało. W pewnym momencie to pragnienie ojcostwa było tak silne, że zmieniłem studia dzienne na zaoczne, żeby pójść do pracy. Zarabiałem jako barman, kucharz, magazynier, ale później zdałem sobie sprawę, że z tego nie utrzymam rodziny. Zacząłem więc szukać lepszej pracy i tak trafiłem do Dziwnówka na technologa żywienia. Zawsze chciałem mieszkać nad morzem, to było moim marzeniem. Kiedy zobaczyłem pierwszy raz, gdzie mi przyjdzie pracować, przestraszyłem się. To był



Najpiękniejszym był dla mnie moment święceń, kiedy ksiądz abp Andrzej Dzieęga w charyzmacie prorocтва nakładał na mnie ręce – wspomina ks. Rafał.
Fot.
www.szczecin.kuria.pl

kompleks hoteli. Odezwało się poczucie niskiej wartości i wtedy sobie pomyślałem „Panie Boże to Ty mnie zaprosiłeś tu, Ty mnie prowadzisz, więc idę”. Zanim jednak rozpocząłem pracę, musiałem zdać egzamin, a potem przejść dwutygodniową próbę. Miałem 22 lata i byłem najmłodszy i najmniej doświadczony w zawodzie spośród tych, którzy starali się o pracę. Po dwóch tygodniach pani technolog zaprosiła mnie i powiedziała, że kiedy sama zaczynała pracę, była zupełnie zielona, ale ktoś jej pomógł. Wtedy obiecała sobie, że postąpi kiedyś podobnie. - Pan ma dużo wiedzy, ale jeszcze wiele musi się Pan nauczyć i ja Panu pomogę – powiedziała mi i dodała, że przekaże pani prezes, że jestem jedyną osobą, która nadaje się do tej pracy.

Każdy dzień pracy był męczarnią i trudem, bo łąpałem się na tym, że wielu rzeczy nie znam, ale właśnie pani technolog bardzo mi pomagała. To był anioł sprowadzony przez Pana Boga dla mnie. To miejsce było dla mnie przejściowym, żeby Pan Bóg zaprosił mnie do tego szczególnego zadania – bycia kapłanem. Pobyt w Dziwnówku wpłynął na dalsze moje losy, pozwolił odkryć życiowe powołanie. W wieku 22 lat byłem kierownikiem żywienia i w sezonie letnim odpowiadaliśmy za wyżywienie tysiąca ludzi. Koordynowałem pracą około 80 osób, nierzadko młodych, którzy przyjeżdżali dorobić w wakacje. Zacząłem obserwować jak oni spędzają wolny czas - dyskoteki, alkohol, który kiedyś też był uzupełnieniem moich zabaw.

Pamiętam jeden moment. Poszedłem kiedyś sam na plażę, popatrzyłem na morze i to było najgłębsze nawrócenie w moim życiu. Wtedy prawdziwie zapragnąłem żyć z Bogiem. Patrząc na to morze uświadomiłem sobie, jak wielki jest Bóg i jaki piękny akt stwórczy dokonał się. Patrzyłem na tajemnicę głębi tego morza, horyzontu, przyrody i pomyślałem, że tylko Bóg może to tak pięknie stworzyć. Kiedy patrzyłem na morze, odkrywałem Pana Boga i czułem, że jest ze mną, że jest relacja. Patrzyłem na morze tak, jak dziś spoglądam na tabernakulum. Patrząc na morze widziałem, że to już nie jest nurt tradycyjny, ale to on doprowadził mnie do nurtu głębokiego, w którym jest przeznaczone spotkanie człowieka w duszy, całym ciele z Bogiem. Poczułem radość, dreszcze, płynące łzy. Pierwsze, co wtedy zrobiłem, to pobiegłem do pokoju po różaniec, który stał się moją życiową drogą. Z tym różańcem chodziłem właśnie tam przed tym „morskim tabernakulum”.

Kiedy więc patrzyłem na tych młodych ludzi, ile tam jest alkoholu, rozwiązłości, pogubienia, moje serce zaczęło czuć wielki żal i empatię w stosunku do nich. Szkoda mi było, że marnują swoje życie. Ja z kolei odkrywałem pełnię życia z Bogiem, a jeszcze niedawno byłem przecież na pograniczu – pójść za Panem Bogiem, czy pobawić się, pójść na fajne imprezy, poswawolić w życiowych doświadczeniach. Teraz była już pewność – tylko Bóg jest w stanie zapewnić szczęście. Od razu chciałem dać to wszystkim ludziom, ale nie mogłem im pomóc. Kiedy więc tak chodziłem sobie po plaży i patrzyłem na piękne tabernakulum, którym było to morze, zadałem Bogu pytanie jak ja mogę pomóc tym pokrzywdzonym, poranionym i pogubionym ludziom. Nie odnalazłem w sobie żadnej odpowiedzi. Złożyłem więc ofiarę Jezusowi za te osoby – będę się modlił za nich codziennie. Z perspektywy jak na to patrzę, to każdy dzień modlitwy w ich intencji przynosił mi coraz większą radość i pokój, że jest we mnie Bóg,



Popatrzyłem na morze i to było najgłębsze nawrócenie w moim życiu – wspomina ks. Rafał. Fot. Łukasz Szelemej. www.szelemej.pl

który to pole radości powiększa. Każde spotkanie w kościele było już moim spotkaniem. Byłem na każdym parafialnym wydarzeniu. W maju usłyszałem, że do parafii w Dziwnówku przyjeżdża kleryk na niedzielę powołańową. Poszedłem, a spośród moich współpracowników byłem jedyną osobą (poza synkiem jednej pani, którego brałem ze sobą i który jak się później okazało bardzo polubił kościół dzięki temu), która chodziła do kościoła. Kleryk opowiadał, jak wygląda życie w seminarium i wtedy odkryłem, że to jest życie dla mnie, że chciałbym tam być. Wtedy pojawił się konflikt. Jak ja, który miał wcześniej dziewczyny, nie żył dość ewangelicznie, może pójść do seminarium? Przestraszyłem się i nie chciałem stawiać temu czoła, a poza tym ta praca dawała mi dobry start, który zapewnił byt mojej przyszłej rodzinie. Cały czas przecież było pragnienie ojcostwa. Bardzo mało wtedy spałem, ten stan budził we mnie wielkie napięcie, niepokój i wewnętrzny dysonans. Trwało to około dwóch miesięcy i wtedy ku mojemu zdziwieniu po roku zadzwoniła do mnie była dziewczyna, która chciała się spotkać.

Po przyjeździe poszliśmy na wieczorny spacer, na którym zapytała mnie, czy chciałbym jeszcze wrócić do niej. Odpowiedziałem, że nie, bo myślę o czymś innym i nie wiem jak sobie z tym poradzić. Gdy na jej pytanie co to takiego odpowiedziałem – „chcę zostać księdzem, nie wiem skąd się to bierze i takie jest to we mnie silne” – zapadła dwuminutowa cisza. Potem ona popatrzyła mi w oczy i powiedziała „Ty tam pasujesz”. Ona spowodowała, że wzrosło we mnie przekonanie, że to prawdziwy głos Pana Boga, żeby jednak spróbować. Kolejny dzień to był jednak poniedziałek, ja byłem w Dziwnówku, początki lipca, więc stwierdziłem, że w tym roku już nie spróbuję, bo czas rekrutacji się skończył. I co się stało? To moja była dziewczyna poszła następnego dnia do seminarium i na furcie zapytała czy jeszcze przyjmują na księdza. Proste pytanie, które do dziś wywołuje uśmiech u mojego kolegi księdza, który usłyszał wtedy to pytanie od niej. Natychmiast zadzwoniła do mnie i powiedziała, że mogę składać papiery i przyjeżdżać. Pojechałem i po rozmowie z rektorem otrzymałem zaproszenie.

Od razu zrezygnował ksiądz z pracy w Dziwnówku?

Świetnie się złożyło, ponieważ pani prezes za miesiąc sama chciała mnie zwolnić twierdząc, że tak dobrego człowieka dawno nie spotkała, ale to dobro nie pomaga mi w tej pracy, a tu trzeba być bardziej przedsiębiorczym. Kiedy usłyszała, że „idę na księdza” odpowiedziała „To jest Pana miejsce”.

Droga w seminarium też nie była prosta?

Nie była. Pamiętam, że było piękne wejście w seminarium. Do Dziwnówka na wczasy do mnie przyjechali rodzice. Na początku nie powiedziałem jeszcze, dlaczego rezygnuję z pracy. Wprowadzałem nową osobę. W końcu tata zapytał mnie „co będę dalej robił”. Ponieważ mama wcześniej się dowiedziała, stwierdziła, żebym sam to powiedział ojcu. Odpowiedziałem więc, że chcę pójść do seminarium. On na to, że mi błogosławi, ale jeśli już podjąłem taką decyzję, to chciałby, żebym został świętym kapłanem – wspomina ze wzruszeniem słowa ojca ks. Rafał.

Pierwszy dzień w seminarium. Usłyszałem tylko trzask drzwi, puściłem torby, ze łzami w oczach wszedłem do środka i powiedziałem „Panie Jezu, chcę być świętym kapłanem. Żadnym innym. Jeżeli mam być innym kapłanem, to nie chcę być nim wcale”.

Przeżyłem trzy piękne lata w seminarium. Wszystko, co odezwało się w Dziwnówku, uzupełniało się pięknie i pogłębiało. Chłonałem każde słowo księdza, kaznodziei, spowiednika. Na trzecim roku Bóg zaczął pokazywać mi prawdę o mnie samym. Słaba wartość siebie, która warunkowała moje wcześniejsze, czasem błędne decyzje, spowodowała, że chciałem jeszcze to wszystko w sobie przerobić. Poprosiłem o przerwę. Nie byłem pewny, czy chcę być księdzem.

A może to ta głębia duchowości zaczęła wygrywać z tradycją?

Dzisiaj też tak to widzę, bo wtedy te 2 lata to były dwa lata pustyni. Nie miałem żadnej radości z bycia poza seminarium, nie chciałem gubić w sobie tożsamości kleryka. Dzięki znajomym trafiłem do Gorzowa Wielkopolskiego, do hospicjum, gdzie spotkałem siostrę zakonną, która początkowo nie chciała mnie przyjąć do pracy, bo nie było przydziału dla mnie. Odpowiedziałem jej: „To Pan Bóg wszystko prowadzi i będę w miejscu, w którym Pan Bóg chce. Niech siostra się nie martwi, jeżeli to nie jest to miejsce, to znaczy, że mam tu nie być” – zakończyłem.

Wtedy usłyszałem z drugiej strony: „Z Panem Bogiem walczyć nie będę. Niech ksiądz przyjeżdża”. Dała mi spanie, posiłki, pensję. Byłem pomocą dla chorych, również duchową, na tyle, ile mogłem. Byłem też kierowcą karetki, więc jeździłem do hospicjum domowego. Spędziłem tam rok i przy tych ludziach, którzy zaufali mi i pokazywali wartość życia, zacząłem odkrywać dary, którymi obdarował mnie Bóg. To miejsce pozwoliło mi uwierzyć w siłę mojego powołania. Po pracy w hospicjum

wróciłem do seminarium i ku mojemu zdziwieniu od razu otrzymałem szatę duchowną (przyp. red.: sutanna). A normalnie powinienem być dostać ją rok później. Świętej pamięci abp Zygmunt Kamiński zdecydował inaczej. Ta szata duchowna pogłębiała moją klerycką duchowość. Już wtedy nie miałem żadnych problemów, czy być kapłanem czy nie. To definitywnie rozwiało moje wątpliwości. Święcenia diakonatu przyjąłem podczas praktyki w parafii w Gryfinie. Święcenia kapłańskie otrzymałem 10 czerwca 2010 roku.

Jak wspomina ksiądz ten dzień po wszystkich życiowych zakrętach?

To było zwieńczenie i jeden z najpiękniejszych dni w życiu. W momencie przyjęcia sakramentu łzy mi leciały, bo wiedziałem, że jestem na odpowiednim miejscu. Najpiękniejszym był dla mnie moment święceń, kiedy ksiądz abp Andrzej Dziega w charyzmacie prorocstwa nakładał na mnie ręce. Popatrzył na mnie wtedy i powiedział „teraz już się niczego nie bój”. Wcześniej bowiem był okres, kiedy bałem się, czy być księdzem czy nie, czy będę tym świętym kapłanem, czy nie.

Czy osoba, która niejako zapisała księdza do seminarium, czyli była dziewczyna, uczestniczyła w uroczystościach święceń kapłańskich?

Nie. Kiedy zadzwoniła i powiedziała, że mogę przynosić dokumenty do seminarium, to był jej ostatni telefon do mnie. Świadomie nie wracałem do tej relacji.

Pierwsza parafia po święceniach to...

Gryfino, gdzie posługiwałem jeszcze jako diakon. Potem byłem kapelanem chorych w szpitalu przy Arkońskiej oraz, wraz z ks. Piotrem Gałasem, w Domu Rekolekcyjnym. Udało się nam założyć Duszpasterstwo Chorych. Od połowy 2011 roku posługuję na Wzgórzu Hetmańskim na Pomorzanach w parafii MB Jasnogórskiej. Uczę też religii w LO nr 18 przy ul.. Hożej.

Z którą grupą pracuje się najlepiej. Czy wcześniej z chorymi, czy teraz z dziećmi?

Przyznam szczerze, że tak się potoczyły pewne wydarzenia z mojego życia, że ukierunkowały kapłaństwo na posługę charyzmatyczną, która wypełnia się w Przymierzu Miłosierdzia (pisaliśmy o tej grupie w nr 8) w Szczecinie. Oprócz kierownictwa duchownego, w którym bardzo się odnajduję, są również modlitwy wstawiennicze i uzdrowienia, w których namacalnie widać, jak Duch Święty działa w dzisiejszym świecie.

Proboszcz parafii ks. Andrzej Buczma był w seminarium ojcem duchownym księdza?

Tak. Kierownik duchowny, spowiednik, który wiele pomógł mi w życiu przejść przez

doświadczenia seminaryjne, żebym został kapłanem.

***Wspominał ksiądz wcześniej o wewnętrznej potrzebie ojcostwa.
Jak to rozumieć?***

Teraz, z perspektywy przeżytych doświadczeń, wiem, że chodziło o ojcostwo duchowe, czyli prowadzenie ludzi do Boga.

Dziękuję za rozmowę.

LIST DO NAWRÓCONEJ CELEBRYTKI

Tekst
ks. Sławomir Sikora
parafia ewangelicko - augsburska
Świętej Trójcy

Droga Agnieszko,

jakiś czas temu słuchałem programu radiowego o Twoim nawróceniu. Przyznam, że prowadzący nie byli dla Ciebie zbyt łaskawi, ale oni raczej znani są z ostrego języka i wykpiwania wszystkiego i wszystkich. Jak podkreślali, nie rozstrzygali kwestii wiary, czy samego aktu nawrócenia. Rozstrzygali Twoje nawrócenie. Nie mieściło im się w głowie, że Twoja nowa droga może być szczerą i prawdziwą. Zarzucali Ci upublicznianie swojej wiary, która, zdaniem wielu, jest czymś na tyle osobistym, że nie należy o niej mówić za pomocą Internetu.

Droga Agnieszko! Obejrzałem ten film. Twoje świadectwo jest wiarygodne i zrozumiałe dla tych, którzy doświadczyli podobnej epifanii, czyli objawienia się Boga w ich życiu. Jestem wdzięczny ludziom, którzy nie skazali Cię na przegraną, nie patrzyli na Ciebie przez pryzmat Twoich publicznych grzechów, ale patrzyli na Ciebie oczyma przebaczonego i kochającego Boga. Nie wiem dokładnie, kim są ci ludzie. Szymon Hołownia nazywa ich skrajnym protestanckim zborom i chyba nie daje Ci zbyt wiele szans na trwałe zmiany wśród tych ludzi. Czy byłbyś spokojniejszy, gdybyś swoje nawrócenie deklarowała jako nawrócona katoliczka? Może tak. Ja też wolałbym, abyś wzrastała w wierze w jakiejś parafii ewangelickiej, bo również nie mam pełnego zaufania do „ultraradykalnego protestanckiego Kościoła” (mowa o Chrześcijańskim Kościele Reformacyjnym ze zborami w Warszawie i Cieszynie). Muszę jednak w tym miejscu uderzyć się w pierś i przyznać, że dopóki byłaś „Frytką” z Big Brothera, mało mnie obchodziłaś i nie przyszło mi do głowy modlić się o Twoje nawrócenie. Czy modlił

się o Ciebie ktokolwiek z tych, którzy dzisiaj wydają swoje sądy na Twój temat? Raczej nie. Gdyby się modlili, to teraz dziękowaliby Bogu za wysłuchane modlitwy. Najwyraźniej łatwiej jest sądzić i wydawać swoje opinie. Najpierw sędził Cię jako „Frytkę”, teraz oceniają jako „Siostrę w Chrystusie Agnieszkę”. Życzę Ci cierpliwości, bo teraz będziesz jej dużo potrzebować.

Słyszałem, że niektórzy ludzie, z którymi do tej pory żyłaś w dobrych relacjach, unikają Ciebie. Stałaś się dla nich nudna i na swój sposób niebezpieczna. Domyślałem się, że imprezy, w których wspólnie braliście udział, były zaprzeczeniem nauki Jezusa. Niestety chrześcijaństwo często kojarzy się z nudziarstwem. Jeśli Bóg zabrania upijania się, plotkowania, przeklinania i dysponowania swoim ciałem według własnego upodobania oznacza to, że jest nudziarzem, który zabiera nam wolność. Tymczasem wiesz, droga Agnieszko, że Bóg właśnie uwalnia nas od tych „rozrywek” i czujemy radość, że nie musimy już tego robić. To właśnie z Chrystusem możemy cieszyć się pełnią życia. Nie musimy zagłuszać siebie i udawać, że jesteśmy kim innym. Szczęście z Bogiem przestaje być powierzchowne i udawane. Staje się głębokim i prawdziwym.

Mam nadzieję, że jesteś w dobrych, duszpasterskich rękach. Potrzebujesz teraz dużego wsparcia i mądrości tych, którzy będą Cię uczyć codziennego życia z Chrystusem. Mam nadzieję, że poprowadzą Cię we właściwy sposób. Twoje bowiem nawrócenie oraz publiczne przyznanie się do Chrystusa przestało być Twoją sprawą. Jesteś na świeczniku. Tym bardziej modlę się o wytrwałość dla Ciebie. Będziesz atakowana i zniechęcana. Ludzie będą przypominać Ci Twoją przeszłość i kwestionować prawdziwość nowej drogi. Będą czekać na Twój upadek. Wtedy będą mogli tryumfować. Powiedzą, że mieli rację, bo chrześcijaństwo to udawanie świętych, to przekłamanie i opium dla mas. Proszę, droga Agnieszko, wytrzymaj i nie daj się! Wtedy może uda się ruszyć sumienia wielu ludzi, którzy żyją tak, jak żyłaś do tej pory.

Życzę Ci wszystkiego, co najlepsze, odkrywania świata, który do tej pory był dla Ciebie niedostępny, poznawania Boga takim, jakim się nam objawił w Chrystusie, życzliwych ludzi i modlitewnego wsparcia. Może powołana zostałaś do bycia Apostołem Pawłem wśród polskich celebrytów?

Twój brat w Chrystusie

Sebastian Roszkowski i Piotr Kołodziejcki zapraszają na sportową audycję w Internecie "Sport w Sieci". Ciekawi goście, wśród nich sportowcy, trenerzy, działacze i dziennikarze sportowi z innych mediów. Co miesiąc rozmawiamy o wydarzeniach sportowych w Szczecinie, kraju i na świecie. Zapraszamy do słuchania na www.radio.szczecin.pl/sws. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/sws92fm>



NAPROTECHNOLOGIA - NOWE SPOJRZENIE NA ZDROWIE I NA PŁODNOŚĆ KOBIECY

Tekst
Marta Kuśmierk

Zgodnie z definicją, „niepłodność jest to stan, w którym zachodzi niemożność zajścia w ciążę pomimo rocznego współżycia seksualnego z przeciętną częstotliwością 3–4 stosunków tygodniowo, bez stosowania jakichkolwiek środków antykoncepcyjnych” (*Położnictwo i ginekologia.. Warszawa: Wydawnictwo Lekarskie PZWL, 2007, s. 737, 741*). Problem ten zaczyna być coraz bardziej powszechny. W opinii Konsultanta Krajowego w dziedzinie położnictwa i ginekologii, dotkniętych niepłodnością w Polsce jest około 1,2-1,3 mln par małżeńskich. Stała się ona chorobą społeczną, dotyczącą coraz więcej współczesnych kobiet i mężczyzn. Jest to temat aktualny, ale również budzący wiele kontrowersji. Z jednej strony – tabu, z drugiej – wymaga nagłośnienia, gdyż pary, mające problem z uzyskaniem potomstwa, coraz częściej poszukują specjalistycznej pomocy. Okazuje się jednak, że wiedza, zarówno pacjentów, jak i samych lekarzy na temat metod leczenia niepłodności, jest bardzo ograniczona. Jedną z propozycji w rozwiązaniu problemu niepłodności jest naprotechnologia – nowa, kompleksowa metoda postępowania diagnostyczno-terapeutycznego w zakresie ginekologii i położnictwa. Niniejszy artykuł będzie krótkim wprowadzeniem i możliwością zapoznania się z tą, tak mało jeszcze znaną w Polsce, odpowiedzią na ludzkie pragnienie przekazywania życia.

Odrobina historii

Naprotechnologia (NaProTECHNOLOGY - ang. Natural Procreative Technology) miała swój początek w latach 60 XX w., gdy Thomas W. Hilgers, jeszcze jako student medycyny (obecnie profesor Wydziału Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w stanie Nebraska) wraz z Diane Daly, Susan Hilgers i Ann Prebil, podjął badania nad naturalną regulacją poczęć. Efektem prowadzonych obserwacji było wynalezienie Creighton Model FertilityCare™ System. Jest to oparty na metodzie owulacyjnej Billingsów system obserwacji biomarkerów, czyli objawów, których naturalne



występowanie informuje o zdrowiu oraz płodności kobiety. W czasie wielu lat badań oraz praktyki lekarskiej, dr. Hilgers ujednolicił system diagnozowania zdrowia rozrodczego oraz poszerzał możliwości leczenia, przede wszystkim przez rozwój chirurgii ginekologicznej. Swoje doświadczenia, przebieg prac i badań naukowych opublikował w 2004r. w książce *The Medical and Surgical Practice of NaProTECHNOLOGY*.

O metodzie, czyli pierwsze kroki...

...które musi podjąć para bądź osoba zainteresowana korzystaniem z naprotechnologii, powinny być skierowane do wykwalifikowanego instruktora, wprowadzającego w świat wystandaryzowanego języka obserwacji i zapisu obserwowanego śluzu. Jednym z ważniejszych osiągnięć wieloletnich obserwacji kobiecych cykli przez zespół amerykańskich specjalistów jest wprowadzenie potrójnego standardu: prowadzonych obserwacji, zapisu oraz nauczania. Daje to pewność, że prowadzone obserwacje są dokładne i rzetelne, oraz umożliwia konsultacje u dowolnego lekarza konsultanta tej metody na całym świecie. Ponieważ podstawowym biomarkerem jest śluz szyjki macicy, powstał swoisty dla naprotechnologii słownik, sposób jego interpretacji, jak i spójny system obiektywnej oceny wydzieliny śluzowej. Instruktor uczy zainteresowane osoby prowadzenia obserwacji cyklu oraz zapisywania ich na odpowiednich kartach, zgodnie z obowiązującymi standardami.

Po około trzymiesięcznej samoobserwacji, para trafia do wyszkolonego w naprotechnologii lekarza, który interpretuje karty obserwacji cyklu oraz ewentualne wyniki innych badań. Dzięki kartom, lekarz ma dostęp do informacji o przebiegu cyklu kobiety, których uzyskanie tradycyjną metodą diagnostyczną byłoby znacznie trudniejsze. Umożliwia to dostosowanie kolejnych badań do fizjologicznego cyklu,

specyficznego dla każdej kobiety.

Po badaniu lekarskim i zebraniu wszystkich informacji, lekarz zleca kolejne badania diagnostyczne. Po kolejnych kilku miesiącach diagnostyki i ciągłym prowadzeniu obserwacji cyklu, stawia rozpoznanie przyczyny niepłodności, bądź innych problemów ze zdrowiem rozrodczym kobiety i proponuje terapię poczynawszy od leczenia zachowawczego, przez precyzyjną kurację hormonalną, aż po ingerencje chirurgiczne. Mimo, iż w centrum obserwacji CrMS jest kobieta, naprotechnologia nie zapomina o mężczyźnie, który również poddawany jest badaniom, a jeżeli to konieczne – leczeniu.

Choć naprotechnologia została tutaj przedstawiona jako odpowiedź na wskazany we wstępie i obecnie niezwykle powszechny problem niepłodności, należy jednak zauważyć i z całą mocą podkreślić, iż nie jest to jedyny problem zdrowia rozrodczego, którym zajmuje się ta młoda dziedzina nauki. Naprotechnologia niepłodność traktuje jako objaw konkretnych zaburzeń w funkcjonowaniu organizmu kobiety bądź mężczyzny. Postawienie diagnozy i przywrócenie zdrowego funkcjonowania jest celem leczenia, natomiast przywrócenie płodności – jedynie i aż – konsekwencją zrealizowanego celu. Gdy nie zostaje on osiągnięty, starającej się o potomstwo parze, proponuje się adopcję.

Całościowe spojrzenie na człowieka

W odróżnieniu od metod sztucznego zapłodnienia takich jak inseminacja czy metody in vitro, naprotechnologia nie jest kontrowersyjna etycznie według nauczania Kościoła katolickiego. Te dwa podejścia do problemu niepłodności, okazują się być radykalnie różne w swoim fundamencie ideologicznym, czyli postrzeganiu życia ludzkiego i miłości. Naprotechnologia traktuje dziecko jako dar, angażuje małżonków w poznawanie funkcjonowania swego organizmu i odkrywanie siebie nawzajem, co sprzyja budowaniu relacji i pogłębianiu intymności oraz wzajemnego szacunku w związku. Dzięki poznawaniu kobiecego cyklu, małżeństwo staje się ekspertem w dziedzinie swojej płodności.

Prof... Hilgers nieprzypadkowo rozpoczął badania nad naturalną regulacją poczęć w 1968r. Był to rok wydania encykliki papieża Pawła VI *Humanae Vitae*, traktującej o ludzkiej miłości i seksualności oraz jednoznacznie sprzeciwiającej się antykoncepcji. Papież zachęcał pary małżeńskie do korzystania z naturalnego rytmu ludzkiej płodności jako daru Boga, ale też zalecał małżonkom, aby byli darem dla siebie w swojej seksualności. Wzywał tym samym ludzi świata nauki, by pogłębiali znajomość naturalnego cyklu płodności i pomagali małżeństwom w pełni z nim współgrać. Dr. Hilgers odpowiedział na wezwanie papieża, a rezultatem jest właśnie przedstawiona przeze mnie metoda.

Kontakt z instruktorkami w Szczecinie

Katarzyna Sachaj tel. kom. 503 398 303, k.sachaj@gmail.com

Karolina Klek tel. kom. 693 867 762, karolaklek@gmail.com

Pierwsza zasada KSMowicza: Kochaj Boga, szerz Królestwo Chrystusowe w swojej duszy, w swej rodzinie i w swym środowisku.

Tekst

Ewa Walkowiak

parafia rzymskokatolicka pw.

Chrystusa Dobrego Pasterza

Zastanówmy się, czy naprawdę kochamy Boga? Czy traktujemy Go jak naszego Ojca? Czy mówimy o Bogu tym, którzy o Nim nie słyszeli? Podstawą chrześcijaństwa jest właśnie miłość do Boga. W życiu mamy kierować się największym przykazaniem, przykazaniem miłości: Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą. A bliźniego swego jak siebie samego. Miłości do Boga mamy uczyć i przekazywać kolejnym pokoleniom. Często słyszymy o ewangelizacji. Wiemy, co to znaczy, ale czy kiedykolwiek próbowaliśmy głosić Chrystusa innym? Wydaje nam się to trudne. Zazwyczaj myślimy, że od ewangelizacji są osoby duchowne.

Jest wiele sposobów dzielenia się Dobrą Nowiną z bliźnimi. Pierwsza zasada KSMowicza nakazuje szerzenie Królestwa Chrystusowego praktycznie wszędzie, zaczynając od samego siebie. Aby dzielić się wiarą, trzeba najpierw samemu ją poznać, przyjąć i pogłębiać. Oznacza to, że mamy m.in.. uczestniczyć we mszy świętej przynajmniej raz w tygodniu, w niedzielę, czytać Pismo Święte, prasę i książki katolickie, modlić się codziennie. W to wszystko powinniśmy zaangażować rodzinę. Zachęcać do wspólnej modlitwy, słuchania radia i oglądania programów katolickich, czytania prasy katolickiej, przeglądania stron internetowych o tematyce religijnej. Ewangelizacja w swoim środowisku jest prostsza niż nam się wydaje. Jest to chociażby przeżegnanie się, przechodząc lub przejeżdżając w drodze do pracy albo szkoły obok kościoła, ukłęknięcie, gdy widzimy kapłana niosącego Pana Jezusa, noszenie medalika, bądź innych symboli religijnych. Z pomocą w głoszeniu Chrystusa przychodzą nam różnego rodzaju wspólnoty i stowarzyszenia. Przykładem może być Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, do którego należę.

KSM organizuje akcje, ogniska, szkolenia, a także zachęca do uczestniczenia w rekolekcjach i dniach skupienia. Podczas Wielkiego Postu szukamy rozważań poszczególnych stacji drogi krzyżowej i czytamy je na co piątkowym nabożeństwie wielkopostnym. Podczas ważniejszych wydarzeń czynnie włączamy się w przeżywanie mszy świętej poprzez niesienie darów, czytanie fragmentów Pisma Świętego, śpiewanie psalmu. To wszystko jest szerzeniem Królestwa Chrystusowego. Nie trzeba wcale wiele, aby podzielić się z innymi tym, w co wierzymy.

BŁĘKITNY PREZENT - O MIŁOŚCI, KTÓRA POWRACA

Tekst

ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko - augsburska

Świętej Trójcy

Być zdrowym, mieszkać w domu, mieć blisko rodziców – to takie codzienne i oczywiste dla wielu dzieci. Tak oczywiste, że aż trudno sobie wyobrazić, że może być inaczej. A jednak zdrowie, dom, rodzina nie są zagwarantowane dla każdego. Jak zatem uświadomić dzieciom, że mają tak wiele powodów do wdzięczności i zadowolenia?

Dzieci w parafii ewangelickiej w Szczecinie, jak co roku, przygotowali świąteczny program. Były wiersze, kolędy oraz dwa przedstawienia. Jedno bardziej tradycyjne. Były anioły, pasterze, mędrcy, Maria i Józef. W drugim przedstawieniu brały udział starsze dzieci. „Błękitny prezent” to opowieść o tajemniczym podarunku, który przekazywany z rąk do rąk uszczęśliwiał zarówno darczyńców, jak i obdarowanych. Nagle okazało się, że ten prezent przemienił serca wielu ludzi i na końcu trafił do pewnej pani, która jako pierwsza obdarowała nim swoją wnuczkę. Okazało się, że w świątecznej paczce była miłość. Oba przedstawienia dzieci zaprezentowały swoim rodzicom, dziadkom i parafianom na parafialnej „Gwiazdce” 6 stycznia w Święto Epifanii.

Zrodził się pomysł, aby pojechać z tym programem do ośrodka szkolno-wychowawczego w Tanowie. Udaliśmy się tam z młodszą grupą z tradycyjnymi jasełkami. W świetlicy ośrodka zebrali się podopieczni z wychowawcami. Wystąpiły nasze dzieci. Przyjęcie było bardzo ciepłe, reakcje



Błękitny prezent”
w parafii ewangelicko-
augsburskiej.
Fot. Archiwum
parafialne.

spontaniczne. Później wspólne kolędowanie i prezent w wykonaniu jednego z podopiecznych: kolędy zagrane na metalofonie. Później podziękowania, wzruszenia i zaproszenia na kolejny rok. Czy coś jeszcze się wydarzyło w Tanowie? Na pewno tak. Podopieczni ośrodka mogli czuć się zadowoleni, że do nich przyjechaliśmy, że ktoś dla nich poświęcił swój czas i talenty. Dzieci opowiedziały historię narodzin Chrystusa, a to zawsze jest bardzo wiele i owoce są często nie do zweryfikowania. Czy coś jeszcze zdarzyło się w Tanowie? Dzieci z parafii były razem ze swoimi rodzicami. Wiem o wielu ciekawych rozmowach. Po występie mogliśmy jako rodzice tłumaczyć, dlaczego dzieci w Tanowie wyrażały swoje zadowolenie w inny sposób. Niezadowolenie z konieczności zrezygnowania z innych zajęć na rzecz wyjazdu do Tanowa ustąpiło. Pojawiła się radość i satysfakcja, że mogliśmy zrobić coś dobrego dla innych, szczególnie potrzebujących. Pojawiły się w wieczornych modlitwach podziękowania za zdrowie, możliwość mieszkania z rodzicami w domu. Nie brakowało próśb o błogosławieństwo dla naszych nowych przyjaciół w Tanowie. Jedno dziecko zadzwoniło do swojej cioci, która pracuje w podobnym ośrodku. Po raz pierwszy praca ta znalazła zainteresowanie i podziw małego chrześniaka. To również zdarzyło się w Tanowie. Szczere dawanie, zawsze związane jest również z otrzymaniem i uczeniem się czegoś nowego.

Starsza grupa pojechała do Trzebiatowa. Brała udział w Ekumenicznym Spotkaniu Czterech Świec. Mogła zobaczyć, że Boże Narodzenie jest świętem wszystkich chrześcijan. Każdy z nas opowiadał o tym samym, choć na bardzo różne sposoby. Dzieci nauczyły się, że wielość wyznań chrześcijańskich to nie tylko podziały i problemy, ale to również bogactwo w różnorodności. Zapamiętują słowo „ekumenia”, szczególnie udzielając, z dużym zaangażowaniem i przejęciem, wywiadów dla Radia Szczecin.

I tak niczym w opowiadaniu „Błękitny prezent” miłość przekazywana dalej trafiła również do jej nadawców. Pomnożona, wzbogacona, ekumeniczna...

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 18:05 (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy z chrystusowcem: ks. Zbigniewem Reguckim (duszpasterzem akademickimi w Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szczecinie) oraz ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (prefektem Arcybiskupiego Wyższego Seminarium Duchownego w Szczecinie). Można też wygrać nagrody książkowe. Wideorelacje, galerie zdjęć, zarchiwizowane audycje i informacje oraz archiwalne numery „Prosto z Mostu Młodzi...Ekumeniczni...Bóg...” na www.radio.szczecin.pl/religia. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali>
Piotr Kołodziejcki, **Zapraszam!**

audycja katolicka **NIEDZIELA** informacje 18:05
zdjęcia wideo **RELIGIA NA FALI**
www.radio.szczecin.pl/religia

BAŁTYCCY ŚPIEWACY ZE WZGÓRZA HETMAŃSKIEGO

Tekst
Adam Kuliś

No i stało się! W niedzielę 22 stycznia minął dokładnie rok od czasu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy!!! Jeszcze nie w dzisiejszym składzie, ale trzon zespołu pozostał nienaruszony. Jeszcze nie pod szyldem *The Baltic Singers*, ale za to z głowami pełnymi fantazyjnych planów i apetytem na męskie śpiewanie na najwyższym poziomie. Wtedy „w uszach” i w pamięci mieliśmy jedynie (i aż!) nagrania i koncerty legendarnych *The King Singers*, *Take 6*, *Affabre Concinui*, czy echa niedawnych sukcesów poznańskiej młodzieży, zdobywającej serca płci pięknej pod wdzięcznie brzmiącą nazwą *Audiofeels*. Dziś jesteśmy bogatsi o doświadczenie naszego wspólnego muzykowania jako *Szczeciński Męski Zespół Wokalny „The Baltic Singers”*. A oto skład zespołu: Tenorzy/kontratenorzy: Marcin Szech i Dariusz Sikorski, który jest także kierownikiem artystycznym i organizacyjnym; tenorzy: Mariusz Rak i Krzysztof Machowski, pełniący także funkcję kierownika artystycznego, barytony: Adam Kuliś i Adam Sterczak, basy: Michał Marszałek i Zdzisław Zawadka (basso profundo).

Dla większości z nas śpiewanie jest sposobem na życie. Większość zespołu to zawodowi śpiewacy wywodzący się z różnych muzycznych środowisk i pracujący na co dzień w znanych szczecińskich instytucjach kulturalnych, takich jak *Zespół Wokalistów i Instrumentalistów Camerata Nova*, *Opera na Zamku*, kwartet *Sweet Four*, *Chór Akademicki im. prof. Jana Szyrockiego Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego* (niegdyś *Chór Politechniki Szczecińskiej*), a nawet *Warszawska Opera Kameralna*, której solistą jest jeden z nas! Razem chcemy tworzyć nową jakość na muzycznej mapie Szczecina, czynnie włączając się w jego kulturalną przestrzeń. Mamy już w tej materii drobne sukcesy...

Pierwszy to udział w koncercie, który odbył się w ramach *I Szczecińskich Dni Integracji Europejskiej*, zorganizowanych przez Wyższą Szkołę Integracji Europejskiej w Szczecinie. Z tej okazji wystąpiliśmy na scenie Filharmonii Szczecińskiej obok zespołu *High Five Brass*. Kilka dni później w Sali Księcia Bogusława w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie m.in.. hitami Elvise Presley'a oraz Nat King Cole'a „porywaliśmy” szczecińską publiczność na Koncercie Południowym. Zaś 17 stycznia b.r. swoją obecnością uświetniliśmy... część oficjalną przyjęcia noworocznego zorganizowanego przez Kwaterę Główną Wielonarodowego Korpusu NATO dla najwyższych reprezentantów władz miasta, regionu i instytucji szczecińskich. Ponadto w minionym roku przystąpiliśmy, jako jedyny szczeciński niezależny zespół wokalny, do prestiżowego Porozumienia Repertuarowego Nowa Filharmonia 2013.



Zespół The Baltic Singers. Dla większości z nas śpiewanie jest sposobem na życie. Fot. Łukasz Szełemej. www.szelemej.pl

Przed nami nowe wyzwania, ale chęci do pracy nie brakuje, w związku z czym z optymizmem spoglądamy w przyszłość. Najbliższe wydarzenie, o którym wiemy na pewno, to kolejny świąteczny (tym razem wielkanocny) Koncert Południowy w Zamku Książąt Pomorskich. Natomiast w sierpniu mamy zaproszenie do udziału w Festiwalu Organowym w Kołobrzegu. Pod koniec tegorocznych wakacji zaśpiewamy osobny koncert w Filharmonii Koszalińskiej. Tematem przewodnim tego wydarzenia będzie muzyka potocznie nazywana Negro Spirituals.

A skoro już jesteśmy przy repertuarze, warto wspomnieć, że wykonujemy prawie każdy rodzaj muzyki. Hasło, które widnieje na naszych pierwszych folderach z programami, brzmi „Od Morley'a do Presley'a”. W czasie naszych koncertów z powodzeniem śpiewamy zarówno renesansowe madrygały, jak i przepiękne utwory reprezentujące szeroko rozumianą muzykę cerkiewną. Dużą uwagę poświęciliśmy również wspomnianemu nurtowi Negro (właściwie Black American Spirituals) oraz muzyce rozrywkowej XX w. z jej sztandarowymi przedstawicielami takimi jak The Beatles czy Elvis Presley. Zabrzmiałoby trochę banalnie, ale naprawdę staramy się dać słuchaczom jak najwięcej radości z obcowania z piękną muzyką w najlepszym możliwym dla nas wykonaniu. Kilka razy już się udało, o czym świadczą niezwykle gorące brawa podczas naszych koncertów.

W tym miejscu warto wspomnieć o sprawie niezwykle ważnej, bez której nie udałoby się osiągnąć tego wszystkiego, o czym pisaliśmy wcześniej... Niejako pod

swoje skrzydła przygarnął nas ksiądz Andrzej Buczma, proboszcz parafii pw. Matki Bożej Jasnogórskiej. Dzięki jego serdeczności oraz zaufaniu, a także życzliwości jego współpracowników (na czele z księdzem Grzegorzem Podlaskim) nasze próby odbywają się w budynku plebanii. I chociaż zdecydowana większość z nas nie mieszka na jej terenie, chyba każdy dziś już czuje się tu, na Wzgórzu Hetmańskim, prawie jak u siebie w domu.

Ze względu na repertuar, otwarci jesteśmy na propozycję koncertów w salach koncertowych i kościołach wszystkich wyznań chrześcijańskich. Można nas znaleźć na: balticsingers.republika.pl

Do zobaczenia!

LENCZYK: NAS CHRZEŚCIJAN MOGĄ POSTRZEGAĆ JAKO DZIWAKÓW

Z ORESTEM LENCZYKIEM, trenerem drużyny Śląska Wrocław, najlepszym szkoleniowcem Ekstraklasy piłkarskiej sezonu 2010/2011 - rozmawiał ks. Robert Rosa, proboszcz parafii greckokatolickiej w Szczecinie

Ks. Robert Rosa: Panie trenerze gratuluję zwycięstwa w plebiscycie na najpopularniejszego wrocławianina 2011 r. Zapewne wie Pan, że ogromną przewagą pokonał Pan prezydenta Rafała Dutkiewicza - on otrzymał 10%, Pan natomiast

ponad 30% głosów, co świadczy, że jest Pan osobą niezwykle popularną i rozpoznawalną. To kolejne wyróżnienie, które Pan otrzymał po powrocie do Wrocławia. Z jakimi odczuciami przyjmuje Pan kolejne laury, tytuły i wyróżnienia?

Orest Lenczyk: Muszę przyznać, że dowiedziałem się o tym od osób, które wyczytały to w gazetach lub same gdzieś usłyszały. Osobiście o tym fakcie nie wiedziałem. Przede wszystkim popularna jest piłka nożna i nie da się ukryć, że to właśnie

Dla kogoś, kto nie ma żadnych podstaw religijnych, możemy być ludźmi, którzy modlą się do kawałka drewna i martwego człowieka – mówi Orest Lenczyk.
Fot. Ks. Robert Rosa.



zdecydowało o takim wyniku! Gdyby Śląsk był drużyną V ligi i miał tysiąc kibiców, to mój wynik w plebiscycie byłby zapewne ułamkiem promila.

W rozmowie sprzed kilku lat, po zwolnieniu z GKS Bełchatów, z którym też odnosił Pan sukcesy, mówił mi Pan, że jest w Pana życiu jeszcze jedno ważne pragnienie - raz jeszcze poprowadzić Śląsk. Jak wiemy, marzenie spełniło się. Czy było to zwyczajne zarządzanie losu?

Sama praca we Wrocławiu to raczej zarządzanie losu, chociaż w moim zawodzie to zawsze coś musi się w klubie przewrócić, żeby było miejsce na następnego trenera. Bardzo rzadko bywa, chociaż i to mnie spotkało, że drużyna była na pierwszym miejscu w tabeli i mnie zwolniono. Rzadko też bywa, żeby trener obejmował drużynę, która jest na eksponowanym bądź pierwszym miejscu.

Proszę powiedzieć jak to się stało, że z przedostatniej drużyny w tabeli, bo tak plasował się Śląsk kilkanaście miesięcy temu, kiedy obejmował Pan stanowisko trenera Śląska po Tarasiewiczzu, uczynił Pan drużynę, która wywalczyła wicemistrzostwo Polski?

Proszę sobie nie wyobrażać, że wiem dokładnie jak to się stało i potrafię odpowiedzieć jednym zdaniem. Uważam, że po objęciu przeze mnie Śląska, z jednej strony - zawodnicy zaakceptowali to, co robimy i po pewnym czasie dało to efekt w wynikach sportowych oraz w podniesieniu ich formy. Natomiast w momencie, kiedy pojawiła się szansa walczenia o wicemistrzostwo Polski, to muszę przyznać, że zawodnicy naprawdę niezwykle mocno się zmobilizowali. Żyliśmy każdym następnym meczem i tak to poukładaliśmy w tabeli, że zostaliśmy drugą drużyną w Polsce. Czy była to niespodzianka? Wszyscy mówią, że tak. Dla mnie, trenera również, bo nie brałem pod uwagę, że 2-3 drużyny, które miały wtedy absolutnie większe aspiracje od nas, pozwolą nam na to. Tutaj muszę wspomnieć o innej sprawie, może najważniejszej - o liczbie kibiców na stadionie na wrocławskich Maślicach (stadion na EURO 2012 - ks. R.R.). Ich obecność na naszych meczach dowodzi, że Wrocław czekał na coś takiego. To także podnosi nam poprzeczkę, bo jak na stadion przychodzi 40 tysięcy ludzi, to oni nie oczekują tylko zwycięstwa, oni żądają również jakości pięknej gry. Zdaję sobie sprawę, że to nie są lata 60, tylko XXI wiek i ludzie niemal codziennie mają możliwość oglądania w telewizji najlepszych drużyn w Europie, na świecie.

Czy Celeban i Kaźmierczak, kiedyś grający w Pogoni, dziś reprezentujący Śląsk, powinni w przyszłości zagrać w reprezentacji?

Ja uważam, że nie w przyszłości. Liczyłem, że już zagrają. Kaźmierczak miał kontuzję i nie wiadomo, czy gdyby nie to, trafiłby do reprezentacji, chociaż selekcjoner miał negatywną opinię wobec niego, na co media zwróciły zresztą uwagę. Jeżeli chodzi o Celebana, to jest on absolutnym wzorem piłkarza, profesjonalisty, który na boisko wychodzi w jednym celu - wygrać i nawet jako obrońca strzelić bramkę. Mam ogromną satysfakcję, że z takimi piłkarzami jak Celeban i Kaźmierczak pracuję w Śląsku.

Wiemy, że życie wszystko zweryfikuje, jednak jak Pan ocenia szanse Śląska na zdobycie mistrzostwa Polski?

Muszę powiedzieć, że jest to bardzo łatwe pytanie i arcytrudna odpowiedź. Przede wszystkim dlatego, iż wiem, że nie wyobrażają sobie zdobycia mistrzostwa w Warszawie, czy nawet w Krakowie, mimo, że oni mają sporą stratę. A biorąc pod uwagę aspiracje Lecha Poznań, czy Polonii, konkurencja jest może nie wyjątkowa, lecz niezmiernie bardzo, naprawdę bardzo mocna. Kiedy zaś chodzi o jakieś przewidywania, to my na początek rundy wiosennej gramy u siebie z Ruchem Chorzów i Legią Warszawa. Jeżeli mecz z Ruchem ma ogromne znaczenie w walce o trzecie miejsce, to spotkanie z Legią jest, przy dla nas korzystnym wyniku, dużą szansą walczenia o pierwsze, drugie miejsce. Mówię w sposób takiej najprostszej arytmetyki, że mecze wygrane z drużynami bezpośrednio zainteresowanymi, powodują, że one punkty tracą a ja zdobywam i potem już nie mam meczów między nami a dodatkowo punkty można i trzeba zdobywać „na innych”. Mówię to w pewnym sensie przezornie i wołałbym na pytanie o ewentualne mistrzostwo Śląska odpowiadać po dwóch wspomnianych spotkaniach.

Chciałbym zapytać o szczeciński epizod Pana pracy trenerskiej - jak się pracowało w Szczecinie?

Pracowało się trudno. Pojechałem do Szczecina dosłownie tydzień po pogrzebie mojej mamy. Już wcześniej miałem stamtąd propozycję pracy, jednak w związku z tak ogromną odległością od chorej mamy, która mieszkała w Sanoku, nie brałem tego pod uwagę. I tak się brutalnie złożyło, że mama mi umarła, pogrzeb był w drugi dzień świąt. Uznałem, że mogę tam pojechać, bo mama już na mnie nie czeka... Nieraz myślałem sobie, że kiedy Szczecin byłby po drugiej stronie granicy, to drużyna z tego miasta zawsze grałaby w czubie najwyższej ligi, a na mecze przychodziłoby zapewne po 50 tysięcy ludzi. Kiedy ja tam byłem tj. w 1995 r., to w Szczecinie jakoś dziwnie to poprowadzono. Wytworzyła się przecież sytuacja, że niby powinno być coraz lepiej, bo wtedy wchodziła na całego demokracja, a tam miały miejsce dziwne sytuacje. Okazało się, jak wiele zależy od konkretnych ludzi. To było bardzo trudne środowisko do pracy...

Jak Pan ocenia dzisiejszą Pogoń Szczecin i czy ten zespół ma szansę na awans do ekstraklasy?

Obecnie nie bardzo wiem, co tam dzieje się w samym klubie, niemniej w trakcie sezonu Piotrek Celeban dzieli się ze mną różnymi informacjami, np.: kto tam strzelił bramkę, jaki wynik osiągnęła Pogoń. On żyje tym klubem. Uważam, że gdyby Pogoń weszła do ekstraklasy, to tam trzeba „kogoś”. Nie może być tak, jak w przeszłości, że kiedy byłem trenerem Bełchatowa, to w Pogoni nie było żadnego polskiego zawodnika a grała jakaś „reprezentacja” Brazylii! Prawdziwe „piłkarskie jaja„! Wtedy pytałem siebie, czy Szczecin jest aż tak egzotycznym miastem, żeby jakiś Pan zjeżdżał z Łodzi, przewoził brazylijską zbieraninę i co - wszyscy są szczęśliwi? Jak można było



Nieraz myślałem sobie, że kiedy Szczecin byłby po drugiej stronie granicy, to drużyna z tego miasta zawsze grałaby w czubie najwyższej ligi, a na mecze przychodziłoby zapewne po 50 tysięcy ludzi – uważa Orest Lenczyk. Fot. Łukasz Szelemej. www.szelemej.pl

doprowadzić do takiej sytuacji? Co prawda oni jako taka ligowa sensacja nawet w Krakowie ze mną wygrali, bo kilku tych Brazylijczyków technicznie posiadało niezłe umiejętności, lecz jako drużyna ciągle mieli jakieś problemy. Wtedy w polskiej lidze zaistnieli jako „brazylijska” Pogoń, ale wiadomo, że teraz już tak się nie da.

Co Pan zapamiętał ze Szczecina? Może konkretnych ludzi czy zawodników?

Do Szczecina ściągnął mnie były piłkarz - Andrzej Rynkiewicz, który w tamtym trudnym okresie pełnił funkcje dyrektora klubu. Zapewne wielu starało się wtedy o zaszczyt prowadzenia Pogoni, bo w czasach transformacji wiązało się to z kwestią kontraktów i transferów zawodników. Współpracę z dyr. Rynkiewiczem wspominam dobrze. W Pogoni było kilku piłkarzy, do których sympatię mam do dzisiaj. Pamiętam jak Maciej Stolarczyk był wtedy młodym człowiekiem, Grzegorz Niciński oraz Radek Majdan, też był młody. Po latach mogę powiedzieć, że gdybym jeszcze ze dwa lata więcej z nimi tam popracował, to bym się na pewno cieszył, że to tak fajnie poszło do góry! Niemniej później starałem się, aby ci zawodnicy zagrali w jednym z następnych klubów, w którym pracowałem. Przecież niedługo później, właśnie z tymi wspomnianymi piłkarzami miałem jeszcze okazje i przyjemność popracować. Do nich dołączyć trzeba Olgierda Moskalewicza, do którego mam dużo sympatii, bo to był dla drużyny ważny zawodnik - strzelający bramki.

A z którą drużyna pracowało się Panu najlepiej, tj. chodzi o satysfakcję z pracy?

Była taka drużyna - Siarka Tarnobrzeg. Byłem wtedy młodym trenerem i był to klub, który chciał coś osiągnąć. Nasprowadzali tam zawodników najczęściej niechcianych gdzie indziej i szybko weszliśmy do trzeciej ligi a zaraz potem do drugiej. Fajnie było obserwować zrytualizowaną formę, cementowanie tego zespołu. Pracowałem tam tylko 2 lata a stamtąd dostałem się na II trenera do Stali Mielec, gdzie grali wtedy jedni z najlepszych polskich piłkarzy i reprezentantów: Lato, Domarski, Kaspercak.

Uznałem, że jest to szczebel, na którym pracując, będę miał kontakt z tymi najlepszymi.

Nie zawsze jednak praca trenerska dawała Panu satysfakcję. Czy to prawda, że był taki czas, że myślał Pan o założeniu firmy transportowej?

To tutaj we Wrocławiu, 30 lat temu spotkał mnie ogromny zawód. Były to czasy, kiedy zatrudniali mnie sekretarze partii pułkownicy a zwalniali generałowie. Powiem tak - trener nie może być osamotniony w klubie. Jeżeli tak jest, to tak jakby siedział na krześle bez oparcia i szybko się przewróci. Ja przecież z żoną i dziećmi zdecydowałem się na przeprowadzkę z Krakowa a tu nagle znalazłem na bruku. O tym, jak nienormalne były to czasy świadczy fakt, że do dnia dzisiejszego nie mam pisemnego zwolnienia z pracy! Krótko mówiąc - rozkazano mi iść precz! Po krótkim czasie zdecydowałem się pojechać do Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie jechałem do rodziny, ale tak naprawdę raczej do pracy fizycznej. Trafiłem na bardzo trudny okres, bo po niecałych 3 miesiącach w PRL-u wprowadzono stan wojenny. Miałem bilet powrotny a nie mogłem wrócić, bo wszystko było zablokowane. Nic nie mogłem się dowiedzieć. Zdecydowałem się mimo wszystko wrócić, bo przecież w Polsce czekała na mnie żona z dwójką dzieci. Niektórzy znajomi pukali się w czoło, kiedy mówiłem, że wracam, ale moja decyzja była stanowcza. Przerazenie ogarnęło mnie dopiero na Okęciu, kiedy poddano mnie szczegółowemu przeszukaniu. Ja wtedy przewoziłem mnóstwo niezaklejonnych listów z USA do rodzin w Polsce, więc na lotnisku „przywitani” mnie umundurowani panowie z karabinami. Listy kazali położyć we wskazanym miejscu i obiecali, że dotrą do adresatów. Już wiedziałem, że to śmierdząca sprawa, bo przecież wiadomo, że tam w Ameryce wkładali po kilka dolarów dla bliskich. Nikt nigdy nie dostał tych listów a ci ludzie może podejrzewali mnie, że zabrałem te pieniądze.

Czekając na samolot do Krakowa, poszedłem do baru zjeść jajecznicę na maśle z bułką. Tak sobie pomyślałem, że przed moim wyjazdem masło było na kartki i w domu może jego nie mają. W kuchni zagadałem do sympatycznej dziewczyny i kupiłem kostkę, chyba za 2 lub 5 dolarów. Faktycznie, okazało się, że w Krakowie są braki w tym zakresie i trafiłem z takim „prezenterem” a z drugiej jednak strony - „idioto gdzie ty wróciłeś”. No, ale jeżeli ja za miesiąc pracowałem już w Ruchu Chorzów, eksponowanej drużynie, to widać jeszcze coś znaczyłem...

Czy istnieje coś takiego jak „polska szkoła trenerska”?

Ja pozwoliłem sobie powiedzieć, że nie się do niej nie zaliczam i zrobiłem to trochę ironicznie. Wielu moich kolegów zostało przy tym, co robiło a ja postanowiłem się wyłamać. Korzystając z dorobku śp. dra Jerzego Wielkoszyńskiego, którego uważam za wielkiego człowieka, poszedłem w innym kierunku. Właśnie ten indywidualny wybór, pozwala mi być czynnym trenerem do dzisiejszego dnia a wiem doskonale, że wielu z tego się śmieje.

W jednym z wywiadów miał Pan powiedzieć, że „uczciwi ludzie zawsze mają

problem". To stwierdzenie można odnieść nie tylko do piłki nożnej czy pracy trenerskiej?

Usłyszałem to dość dawno i zapamiętałem w trochę innej wersji tzn. „jesteś porządny to zacznij się obawiać”. W życiu wielokrotnie mnie to spotkało. Ja nie potrafiłem dostosowywać się do środowiska, które mi nie odpowiadało. Uświadamiałem sobie, że dla swojego spokoju i dobra, muszę opuszczać takie towarzystwo. Mam tu na myśli niektóre środowiska polityczne, czy intelektualne, bądź środowiska, dla których korupcja jest codziennością. W związku z tym i różnymi sytuacjami w moim życiu, mam takie przemyślenie - Bóg stworzył piękny świat, ale chyba coś się Jemu z ludźmi niespecjalnie udało, bo na świecie jest wielu ludzi, z którymi ja na przykład nie chciałbym mieć nic do czynienia...

Jest Pan osobą wierzącą i posiada duże doświadczenie życiowe - może Pan potwierdzić, że przykazania Boże można porównać do takich jasnych drogowskazów na drodze życia człowieka?

Absolutnie tak, jestem człowiekiem wierzącym. Co do przykazań Bożych - z pewnością mogę tylko potwierdzić. Nieraz bywa, że na drogę patrzymy automatycznie i zapominamy o znakach i wtedy pojawia się problem.

W jednym z wywiadów miał Pan również powiedzieć: „może dlatego, że nie brałem i nie biorę „lewej” kasy, nie piję, nie palę, postrzegany jestem jako dziwak”. A wie Pan, że Kościół naucza, byśmy jako chrześcijanie byli takimi właśnie „dziwakami”?!

No tak, powiedziane to jest nieco przewrotnie. Widać tak już musi być. Dla kogoś, kto nie ma żadnych podstaw religijnych, możemy być ludźmi, którzy modlą się do kawałka drewna i martwego człowieka. Inni mogą nas chrześcijan postrzegać jako dziwaków, ale to sprawa innego systemu wartości.

Czy według Pana, Euro 2012 w Polsce i na Ukrainie poza aspektem sportowym może wpłynąć pozytywnie na przełamanie stereotypów czy zaszłości, ciągle wpływających negatywnie na świadomość społeczeństw Polski i Ukrainy?

Nie wierzę w to. Uważam, że jest to bardzo, ale to bardzo daleka droga. Kto przekracza granicę polsko- ukraińską, ten wie o czym mówię. Zaznaczam, że nie chcę nic ujmować ludziom porządnym, którzy są przecież i po tej, jak i po tamtej stronie granicy. Dla nich bowiem EURO, czy jakaś inna impreza przeważnie nie ma żadnego znaczenia, czy też wpływu na życie. Będąc porządnymi, oni zawsze się dogadają i z sympatią się przyjmą.

Czy gdyby po Euro otrzymał Pan propozycję objęcia polskiej kadry, podjąłby się prowadzenia reprezentacji Polski?

Nie ma takiej możliwości!

POWSZECHNY POPŁOCH

Tekst

Anna Próchniak

parafia rzymskokatolicka pw.

Świętego Krzyża

Zewsząd bombardują nas złe informacje: katastrofy lotnicze, wypadki drogowe i kolejowe, wojny, trzęsienia ziemi, powodzie, susze itp. Wielu z nas pyta: czy to już koniec świata? Na to pytanie tylko czekają wszelkiego rodzaju „specjaliści” (np. Świadkowie Jehowy, historycy, astrologowie, geologowie itp..) i straszą nas, wyznaczając dokładne daty tegoż dnia. Bombardowani tymi informacjami w większości niestety straciliśmy własny rozum. Boimy się. Tymczasem nie tędy droga, mało tego, to bardzo zły kierunek myślenia! Powinniśmy zaufać Bogu. Spójrzmy wstecz, ile już było „końców świata”? Przecież koniec świata miał już być w roku: 1844, 1994, 2000... i co? Mamy rok 2012 i wszystko dalej stoi jak stało, a ludzie wyglądają tak samo jak wyglądali od wieków.

Kim są ludzie, którzy nas straszą? Skąd czerpią informacje? Pierwszym przykładem jest pewien amerykański kaznodzieja, który przepowiedział koniec świata na 21 maja 2011 roku na godzinę 12.00 naszej strefy czasowej, posiłkując się symbolami z Biblii zamienionymi na liczby. Wielu ludzi ogarnął strach, tymczasem dzień był jak każdy inny i jakimś „cudem” nastąpił 22 maja 2011. Dlatego warto nieco krytycznie spojrzeć na tego „kaznodzieję”. Może ma tendencje do wymyślania katastroficznych wizji (tacy już są Amerykanie)? Może on głosił kazania dla Świadków Jehowy? Może był trochę nienormalny lub chory (miał zwidy, halucynacje itp.)? Może chciał, aby Amerykanie pomyśleli o czymś więcej niż życiu doczesnym? Drugim popularnym źródłem wiedzy są Majowie i Aztekowie, którym przypisywana jest niezwykła wiedza na temat gwiazd, kosmosu, zjawisk przyrody. Majowie przepowiedzieli koniec świata na 21.12.2012 roku na godzinę 24.00, a Aztekowie na 24.12.2011. Nim wpadniemy w panikę, przyjrzyjmy się im bliżej. Przyda się tu mała



Kolumb zawitał do Ameryki przypadkiem w 1492 roku. Fot. Łukasz Szelemej. www.szelemej.pl

powtórka z historii powszechnej: Majowie i Aztekowie to plemiona żyjące w Ameryce w czasie odkrycia jej przez Krzysztofa Kolumba. Jak wielu z nas pamięta, Kolumb zawitał do Ameryki przypadkiem w 1492 roku. Wtedy dopiero Ameryka weszła w obszar oddziaływania europejskiej cywilizacji, wcześniej, w mojej ocenie, zamieszkiwały ją prymitywne plemiona. Trudno mi więc uważać za wiarygodne stworzone przez nich teorie.

Jako chrześcijanie oczekujemy powtórnego przyjścia Jezusa na ziemię. Nie wymyślajmy komet, powodzi, przemagnesowania czy trzęsienia ziemi! Takie pseudonaukowe tłumaczenia zagłady świata, jeśli w ogóle mogą być dobre i uzasadnione, to ewentualnie dla ateistów, którzy i tak nie wierzą w Boga. Ale my mamy wierzyć nie w komętę, powodź czy trzęsienie ziemi lub inne nowinki, ale w przyjście Jezusa. Najlepiej te wszystkie przepowiednie zupełnie zignorować. Przecież mamy jasno wyznaczoną postawę względem „tego dnia”. Znajdziemy ją w Piśmie Świętym, w Nowym Testamencie. Są to słowa Jezusa: „czuwajcie, bo w chwili, której się nie domyślacie Syn Człowieczy przyjdzie”. Jeśli niezdrówka ciekawość nie daje nam żyć, to zajrzyjmy do Apokalipsy. To najbardziej rzeczywisty i bezpieczny opis, ale tylko tego „co” będzie, a nie „kiedy”. Natomiast musimy koniecznie wziąć sobie do serca zwłaszcza to pierwsze zdanie. Mamy żyć tak, aby zawsze być gotowym na ten dzień. On kiedyś nadejdzie. I to się może stać w każdej chwili. Zarówno w dzień, jak i w nocy, w zimie czy w lecie, zobaczymy to lub już nie. My tego nie wiemy, nie nam przewidywać, kiedy to będzie. Mamy być gotowi w każdej chwili. To się wydarzy niespodziewanie, w dzień, którego nikt tego nie przewidzi. Podobnie jak przyjście złodzieja. To odwołanie świetnie pasuje również dziś. Opuszczając dom, wszystko chowamy, zamykamy, zabezpieczamy alarmem. Robimy tak zawsze, codziennie, bo nie wiemy, kiedy taki złodziej może przyjść. Tu jest podobnie - zawsze mamy być przygotowani na ten dzień. Na co dzień mamy żyć zgodnie z Dekalogiem, naukami Jezusa, zawsze mamy trwać przy Bogu, regularnie chodzić do spowiedzi, iść tam zawsze, kiedy zgrzeszymy po to, by być zawsze w stanie łaski uświęcającej i żeby nie otwierać naszego serca szatanowi. Jeśli będziemy tak postępować, nie będziemy bać się tych przepowiedni ani w nie wierzyć, a wszelkie kary przewidziane dla wielkich grzeszników nas nie spotkają. Bo może być tak, że teraz grzeszymy i nic się nie dzieje. Odkładamy spowiedź bez końca, wydaje się to bez znaczenia. A tu może się okazać, że popełnimy jakiś grzech ciężki, nie wyspowiadamy się i nagle TEN DZIEŃ nadejdzie. Tu musimy przestać ufać nauce, to jest ponad nią. Przecież ta data była tajemnicą nawet dla Maryi, Apostołów, Abrahama, Noego (ludzi przecież natchnionych przez Boga), a nawet samego Pana Jezusa. Skoro zaś nawet Jezus tego nie wiedział, to jakim cudem mają to wiedzieć zwykli śmiertelnicy? Ten dzień zna tylko Ojciec, a my mamy być na to przygotowani w każdej chwili, godzinie, minucie, sekundzie, o każdej porze dnia i nocy. Wówczas przestanie nas obchodzić, kiedy to będzie i jak to będzie wyglądać.

EUROSIEROCTWO - ZNAK CZASÓW

Tekst

Barbara Wróblewska

parafia rzymskokatolicka pw.

Świętego Krzyża

Prawem każdego człowieka jest prawo do godnego życia. Dlatego każdy na miarę swoich możliwości stara się zapewnić jak najlepszy byt sobie i swojej rodzinie. W związku z tym - z uwagi na zaistniałą sytuację społeczną, m. in. związaną z rosnącym bezrobociem, likwidacją zakładów przemysłowych, brakiem nowych perspektyw dla młodych ludzi - wielu decyduje się na wyjazd za granicę w celach zarobkowych. Wraz z falą migracji Polaków za granicę, pojawiło się nowe zjawisko społeczne, jakim jest eurosieroctwo. Przez termin ten rozumiemy sytuację, w której migracja rodziców lub jednego z nich zaburza właściwe funkcjonowanie rodziny, a w sposób szczególny ma destrukcyjny wpływ na rozwój dzieci.

Istota problemu polega na tym, że nieobecność rodzica negatywnie wpływa na proces wychowawczy dzieci, co w wielu przypadkach prowadzi do powstania nieodwracalnych spustoszeń. Wielokrotnie utrudnia dzieciom realizację niektórych zadań m. in. nauczania społecznych form życia, samodzielnego nawiązywania i utrzymywania trwałych stosunków interpersonalnych oraz zaspokajania potrzeb psychicznych. Te negatywne skutki mogą się przejawiać w późniejszym dorosłym życiu, np. przystępowaniem do grup przestępczych, uzależnieniami od alkoholu lub środków psychoaktywnych, bądź problemami związanymi ze zdrowiem, np. anoreksją lub bulimią. Dodatkowo należy podkreślić, że pełna rodzina jest środowiskiem, w którym kształtują się pierwsze relacje społeczne. Z tego powodu ma ona fundamentalne znaczenie zarówno dla tworzących ją członków, jak i dla całego społeczeństwa. Dziecko w procesie wychowania potrzebuje obojga rodziców, gdyż każde z nich w inny sposób wpływa na jego rozwój. Natomiast długotrwała nieobecność rodzica (ojca, matki lub obojga) zawsze powoduje negatywne skutki. Pojawia się też problem funkcjonowania rodzica pozostającego w kraju, który często próbuje zrekompensować nieobecność drugiego. Taka postawa ma również negatywny wpływ, gdyż często poprzez zbytne skupienie się na dzieciach ogranicza ich aktywność, co może spowodować trudności w osiągnięciu dojrzałości społecznej i emocjonalnej. W przypadku zaś, gdy obydwoje rodzice są poza granicami kraju, sytuacja jest jeszcze gorsza. Pomimo tego, że dzieci mają zapewnioną opiekę kogoś



Wraz z falą migracji Polaków za granicę, pojawiło się nowe zjawisko społeczne, jakim jest eurosieroctwo. Fot. Łukasz Szelemej. www.szelemej.pl

dorośle, to zdarzyć się może, że jest ona sprawowana w sposób niewłaściwy. Trudno też mówić o tym, że pieniądze są w stanie wynagrodzić rozłąkę i jej negatywne skutki. Wielu powie, że przecież pieniądze są potrzebne do życia – to prawda. Jednakże należy pamiętać, aby nie stały się one ważniejsze od członków rodziny.

W literaturze przedmiotu można znaleźć wiele czynników negatywnych dotyczących zjawiska eurosieroctwa, jednakże jest pomijana kwestia duchowości członków rodziny, w których występuje zjawisko migracji. W mojej ocenie kwestia rozwoju duchowości dzieci w tej sytuacji również będzie zaburzona, ponieważ trudno ją prawidłowo rozwijać pod nieobecność jednego lub dwojga rodziców. Brak wzorców w tej sferze życia powoduje jej ubożenie lub brak dalszego rozwoju. Jest to problem, na który należałoby zwrócić uwagę zarówno w pracy duszpasterskiej, jak i w działaniach opiekuńczych, które powinny być zapewnione przez państwo.

Można by wysnuć wniosek, że eurosieroctwo stało się znakiem naszych czasów, gdyż ludzie coraz częściej są zmuszani wyjeżdżać za granicę, aby zapewnić swojej rodzinie lepszy byt. Jednakże negatywnym skutkiem tej migracji jest de facto nieprawidłowe funkcjonowanie rodziny. Uważam, że często rzeczywistość nie pozostawia nam wyboru i jedno lub oboje rodziców muszą wyjechać. Czasami jednak wyjazd spowodowany jest tylko potrzebą zwiększonej konsumpcji. Dlatego być może w tych przypadkach szczególnie należałoby zastanowić się głębiej, co jest ważniejsze: dobra materialne czy dobro naszych dzieci?

6 STYCZNIA- NOWA TRADYCJA W SZCZECINIE

Tekst

Piotr Kołodziejski

we współpracy z ks. **Robertem Rosą,**

ks. **Sławomirem Sikorą,**

Grzegorzem Makalem

- Chcemy trafić nie tylko do katolików, ale do wszystkich - mówi Ireneusz Szczerbik, współorganizator Orszaku Trzech Króli w Szczecinie. - Tworzymy to dla Szczecina. Chcemy stworzyć tradycję Orszaku Trzech Króli, spotkać się z mieszkańcami Szczecina, wspólnie pokolędować. Dla jednych będzie to folklor, dla innych modlitwa.

Jak się okazało, królewski orszak ma duże szansę stać się nową tradycją, bowiem w tym roku tłumy szczecinian spontanicznie i radośnie przeszły przed magistratu aleją Jana Pawła II na pl. Lotników, by w żłóbku spotkać Jezusa i Maryję.

- Uroczystość ta przypomina nam, że Bóg nie chciał być Bogiem tylko dla jednego narodu wybranego, czyli narodu żydowskiego. Fakt opisany w ewangelii, że przybywają mędrcy ze Wschodu pokazuje nam, że Bóg objawia się całemu światu, wszystkim narodom - tłumaczy ks. Lucjan Chronchol z Kurii Metropolitalnej w Szczecinie.

W orszaku mogliśmy zobaczyć także diabła, anioła, Heroda, ale przede wszystkim Kacpra, Melchiora i Baltazara. Organizatorem Orszaku są rodzice dzieci z Przedszkola Fale oraz Stowarzyszenie Sternik. Zdjęcia z orszaku na www.radio.szczecin.pl/religia.

W Kościele rzymskokatolickim święto Trzech Króli to uroczystość Objawienia Pańskiego. Wierni mają obowiązek uczestniczenia w mszy świętej. Święto nawiązuje swoją symboliką do pokłonu mędrców ze Wschodu, którzy przybyli z darami do narodzonego Jezusa.



Tłumy szczecinian spontanicznie i radośnie przeszły sprzed magistratu aleją Jana Pawła II na pl. Lotników, by w żłóbku spotkać Jezusa i Maryję.
Fot. Łukasz Szelemej.
www.szelemej.pl

W tradycji Kościoła greckokatolickiego, w czasie święta Objawienia Pańskiego nie eksponuje się postaci trzech króli. Wspomina się ich w okresie bożonarodzeniowym, jako mędrców wędrujących za gwiazdą i poszukujących Prawdy. Grekokatolicy, podobnie jak inni wschodni chrześcijanie, obchodzą Jordan, czyli Teofanię (Objawienie



W Kościele greckokatolickim akcentuje się wydarzenie Chrztu Pańskiego nad brzegiem Jordanu.
Fot. Łukasz Szelemej.
www.szelemej.pl

Boga) - według kalendarza juliańskiego 6 stycznia, tzn. 19 stycznia według „nowego” stylu. Wspomniane nazwy wskazują, że w Kościele greckokatolickim akcentuje się wydarzenie Chrztu Pańskiego nad brzegiem Jordanu oraz ukazanie się całemu światu Trójcy Przenajświętszej. Kościół uczy, że mamy strzec darów łaski chrztu św., by zachować w czystości drogocenną szatę, o której mówi nam to święto: „Bo wy wszyscy, którzy zostaliście ochrzczeni w Chrystusie, przyoblekliście się w Chrystusa” (Ga 3,27).

6 stycznia w Kościele ewangelickim obchodzony jest jako Święto Epifanii - Objawienia Pańskiego. Akcent postawiony jest na objawienie się Boga poganom, którzy, reprezentowani w osobach trzech magów, mędrców (królów), składają Jezusowi pokłon i dary.

W Kościele prawosławnym 6 stycznia według kalendarza juliańskiego (19 stycznia wg kalendarza gregoriańskiego) jest dniem Chrztu Pańskiego, który należy do kręgu dwunastu głównych świąt. Nosi też nazwę Teofanii czyli Objawienia Bożego. Tego dnia również, w specjalnym obrzędzie, święci się wodę, którą wierni zabierają do domów i przechowują przez cały rok jako żywe błogosławieństwo wód Jordanu, spożywając ją z czcią w razie potrzeby (np. w razie choroby).



- 6 stycznia w Kościele ewangelickim obchodzony jest jako Święto Epifanii - Objawienia Pańskiego. Fot. Archiwum parafialne.